

Nr. 6. Poznań, dnia 8 Lutego 1879. **Rok II.**

KLARA.

Powieść

Pauliny z L. Wilkońskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Dnia drugiego po objedzie u prezesa, pp. Trzebiewscy, jak zwykle, w południowéj godzinie w salonie bawili. Klara, siedząc na kanapie, czytała. Lucyan opodal przewracał dzienniki. Wojciech wszedł i bilet oddał.

— A! wymówił pan domu, kładąc kartę wizytową na stół — proszę!

— Wojciech wybiegł. Lucyan posunął się ku drzwiom. Klara przeczytała bilet: Albert Złotawiecki — wsunęła szybko książkę pod poduszkę kanapy i podjęła dzienniki, poprawiwszy włosy ponad czołem.

Drzwi otworzono i wszedł.... nieznajomy z *vis-à-vis* w teatrze. Klara zapłonęła i powstała, Lucyan uścisnął rękę przybyłego i przedstawił go żonie. Poczem wskazał mu fotel.

Pan Albert Złotawiecki słów parę grzecznych wymówił i z eleganckim usiadł ruchem.

— Panowie długo jeszcze bawiliście wczoraj? zapytał gospodarz domu.

— Wyszedłem około jedenastéj. Towarzystwo było przyjemne; można było i zajmującą toczyć rozmowę, ale bawić od 4éj do 11éj — uśmiechnął się, zwieszając zgrabnie rękę w pięknéj, mocno-żółtéj rękawiczce — to i przyznać należy, jest trochę za wiele, i dla gospodarza zmęczeniem. Zostawiłem jeszcze liczne grono.

— Pan mieszkasz w P.? zapytała Klara, by też coś powiedzieć; imponował jéj piękny panicz — niby istny Bastignac.

— Nie pani, nie mam téj przyjemności. Mieszkam ztąd o mil 4., lecz dość częstym jestem tu gościem. Przeniosę się zapewne na resztę zimowego *saison'u* do Warszawy; czuję się za nadto samotnym. A pierwsza to zima, którą w domu przepędzić chciałem; trwoniłem czas i pieniądze za granicą. To też powiedziałem sobie: Dość już tego! Przestań na swojéj zagrodzie! *Mais c'est plus fort que moi*, i wysiedzieć nie mogę.

— Łatwo to pojąć — wymówiła Klara, a Lucyan dodał:

— Pan polujesz?

— Och, wiele! Harcuję po polach nieraz dni całe. Czasem nawet i późnym już wieczorem każę sobie przyprowadzić konia i strzałą puszczę się, na żadne nie zważając przeszkody, alеž to wszystko nie wystarcza.

— Pan zapewne i czytasz wiele? wtrąciła Klara znowu.

— Bardzo wiele; miewam każdą nowość polską, francuską, angielską. Ale, mnie żywego potrzeba słowa; kocham ludzi i żyć bez nich nie mogę. Pani, jak widzę, — wskazał wzrokiem leżące na stole książki — także wiele zajmujesz się literaturą.

— To jest element żony mojéj! — zaśmiał się Lucyan.

— Państwo pozwolicie służyć sobie najświeższemi utworami literackiemi? pochylił się pan Albert uprzejmie.

— Zyskasz pan sobie nieskończoną wdzięczność żonki mojéj, która tego pokarmu nigdy nie ma dosyć.

Mówiono następnie o teatrze; pan Albert, wyraził się o nim z uśmiechem politowania.

— Abonowałem lożę, przez wzgląd na tych biedaków — wyrzekł — ale nie bywam często. Potrzeba jednakże dodawać zachęty i poprawię się. Powinnością jest popierać i podnosić wszystko co swoje.

Po chwili gość powstał.

— Gdzież pana można rewizytować? zapytał Lucyan.

— W hotelu Warszawskim, — pan Albert pokłonił się wdzięcznie.

— Mam nadzieję, że pan łaskaw będziesz na nas, o ile nie nastręczy się nic lepszego — Lucyan podał mu rękę.

— Panie! Gdybym wedle woli z tego uprzejmego chciał korzystać wezwania, to i stałbym się natrętnym.

— Nigdy! Prosimy, bez ceremonii! Wieczorem, na pogadankę, na herbatę, towarzystw wprawdzie nie miewamy.

— To dogadza właśnie! Uszczęśliwiasz mnie pan łaską swoją — zwrócił ku pani domu spojrzenie, jak gdyby zapytywał; czyli i ona dzieli życzenia małżonka.

— Prosimy! wymówiła z wdziękiem — zobowiążesz nas, panie. Powtorzę jednak, że najczęściéj jesteśmy sami.

— Będą to chwile najprzyjemniejsze!

Pokłonił się głęboko. Klara podała mu rękę. Pan Lucyan wyprowadził go do przedpokoju.

— To przyjemny jest człowiek — wymówił, wróciwszy do salonu.

— Przyjemny, obyty w świecie, wykształcony — potwierdziła małżonka.

— Poznałem go przy wczorajszym objedzie. Bardzo tam wszystkim podobał się. Zapełni nam niekiedy wieczór przyjemnie.

— Tylko, że on do Warszawy wyjedzie.

— Otóż to!

Klara wyciągnęła ukrytą pod poduszką książkę.

— Powiedz mi Klarciu — zaśmiał się Lucyan, obejmując ją — dla czego ty zawsze wpychasz tę twoją *lecture'ę* do aresztu, gdy gość się jawi? Uczyniłaś to nawet, gdy anonsował się Krupnicki.

— A, bo widzisz.... — jest trochę *scabreux*....

— I wstydzisz się tego! Ale jakżeż może kobieta z delikatniejszém uczuciem, z uczuciem niewieściem prawdziwie, czytać rzeczy, za które wstydzić się musi? Nie zastanowiłaś się, aniołku, bo inaczéj odrzuciłabyś takie wszeteczności.

— Mnie to bawi, Lucku — wymówiła, tuląc głowę do ramienia jego — a przecież nie zepsuję się!

— Zawsze to naganne! Zastanów się, rozważ, a przekonasz się pewno, że zły czynisz wybór. Dla czegóż raczéj polskich nie czytujesz powieści?

— Wszakżeż i czytam czasem....

— Czasem! czasem coś tam przeczytasz polskiego, a pochłaniasz wszeteczności francuzkie. Wierzę w czystość uczuć twoich, w prawość zasad i cnotę;... ale po cóż tobie, połykać truciznę? Ani wiesz, ani spostrzeżesz, gdy jad zaczerpnięty udzieli się tobie...

— Nigdy! Och, Lucku, obrażasz mnie!

— Uchowaj Boże, nie chcę tobie cieniem cienia ubliżyć! Ale w całéj niewinności swojego ducha, ani zmiarkujesz, gdy wsteczne zasadom dawnym a wyrozumowane i ponętne idee wślizną się zwolna i nieznacznie w myśl twoją....

— Co też ty gadasz!

— Ależ to jest naturalne następstwo, mój anioleczku! Mam wiarę w ciebie, że się zepsuć nie możesz, że zdrożności nie popełnisz żadnéj, — ale bezwiednie łatwo przylgnąć mogą, wypowiedziane z powabem i wyłożone niby — to logiczne przekonanie, podkopujące dawnéj moralności zasady. Nie kładź nigdy bielizny przy ścierce, powinno być zasadą każdego.

— Przecież postęp być musi. Kobieta niezależne winna mieć stanowisko i swoje prawa.

— Zapewne! Nie jestem przeciwny postępowi, pod żadnym względem, i uznaję w całéj pełni prawa przynależne kobiecie, ale wiem też co kobieta winna sobie saméj, i że powinna unikać tego, co sama przed chwilą *scabreux* nazwałaś.

— Ej, to dziecińistwo! — pocałowała męża — przeczytaj, a sam się zabawisz.

— Nie mam czasu, na takie bzdurstwa, któreby mnie pewno gniewały. — Gdy czytam, to wybór czynię, bo inaczéj i szkoda czasu i atłasu.

— Ja mam więcéj czasu i aż za wiele nawet! A to mnie bawi, wybornie napisane, z wielkim talentem, z genialnością nawet....

— Toć i szkoda talentu!

— Ale widzisz ma to tendencye swoje, maluje społeczności obyczaje.

— Przewroty!

— Walkę z życiem, wyrabianie się idei...

— Proszę j. państwa do stołu — przerwał im Wojciech dalszą rozprawę.

Wieczorem byli państwo Trzebiewscy w teatrze. Klara wielkiéj doznała przyjemności — bo pan Albert Złotawiecki odwiedził ich w loży.

Zabawił jeszcze dni kilka w mieście i odwiedzał ich nieomal codziennie — korzystając z wezwania pana domu. Nawet po teatrze zabierali go z sobą na herbatę. Wykształcenie umysłowe, wprawa salonowa, przebywanie dużo w świecie, — wielkiego dodawały mu powabu, posiadał niezmierną łatwość towarzyską i przy drugiéj wizycie, byli już z sobą jak gdyby znali się oddawna.

Książek najświeższych dostarczył Klarze pakę całą — ale, było między niemi i polskich dużo, a francuzkie należały do wyborowych.

Klara widziała w nim wszystkich bohatyrów romansowych, o których czytała i marzyła, Zajmował ją — chciała go zainteresować; pragnęła jego uwielbienia... przejść dla rozrywki przez dramacik jaki — ale ani w myśli jéj postało, że na śliskie puszcza się manowce i niebezpieczeństw nie przewidywała żadnych i zostawała w rozmarzeniu — w odurzeniu — w śnie uroczém... przebudzeniu! — I próżnia zrobiła się w koło, gdy p. Albert wyjechał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Fałszywa kartka wizytowa

czyli

Pan Baltazar w tarapatach.

Humoreska.

Napisał Leon Noel.

(Dokończenie.)

3.

Na ratuszu poznańskim wybiła 10ta przed południem, a Halka ciągle jeszcze nie mogła przyjść do siebie z wrażenia, jakie wywarła na nią wizyta p. Łucyi. Chodziła biedaczka po pokoiku, gubiąc się w domysłach najrozmaitszych, — z niecierpliwością wyczekiwała przybycia narzeczonego, spodziewając się od niego wyjaśnienia téj zagadkowéj dla niéj historyi. — Nareszcie, — nareszcie nadszedł Józef; Halka wybiegła naprzeciw niemu do drzwi, witając go uprzejmie. „Nie uwierzysz z jaką niecierpliwością oczekiwałam przybycia twego, kochany Józiu,“ rzekła wzdychając, — ale któż opisze przerażenie biednego dziewczęcia, na widok twarzy ukochanego! Jak przed niespełna godziną w tém samem miejscu pani Łucya, tak i on teraz z śmiertelną bladością w twarzy wpatrzył się na zegar stojący na stole.

„Ten zegar tu? Halko, zkąd on się tu wziął? mów!“ zawołał głosem drżącym z wruszenia czy gniewu.

„Alboż ja wiém?“ odrzekła Halka, „kto mi go przysłał? Dziś rano przyniósł mi go człowiek w bluzie.“

„Halko!“ przerwał jéj młody człowiek, „to niegodnie, że mnie okłamujesz, — obcy tobie człowiek pewno by ci tak kosztownego podarunku nie przysyłał, — aleć ten, co ci go przysyłał, nie jest ci obcym. Halko, ty go znasz, ty masz stosunki jakieś z nim?“

„Józiu! przysięgam ci, że nie wiem kto go tu przysyłał.“

„Ale ja wiem! „odrzekł Józef „ja znam go bardzo dobrze, bo dziś rano kupował go w naszym składzie; — ja mu go przecie sam sprzedawałem.“

„Ona wie kto go przysłał, — on wie, — tylko ja nic nie wiem, co się to wszystko znaczy“, wyrzekało biedne dziewczę, płacząc i załamując ręce, „Józiu, jeżeli mnie choć trochę kochasz, powiedz mi kto go tu przysłał — jak on się nazywa? — powiedz, jeżeli nie chcesz bym oszalała!“

„Młody człowiek wpatrzył się chwil kilka w twarz narzeczonéj, jak gdyby wyczytać z niéj chciał, czy prawdę mówi, wreście rzekł: „ten, kto ci go przysłał, to człowiek bez serca i sumienia, człowiek lekkomyślny, mający młodą żonę, którą, jak widzę, oszukuje. Halko, ty go znasz jak najdokładniéj, — jest nim p. Kukasiński.“

„Pan Kukasiński!“ powtórzyła Halka zdumiona.

„Tak jest;“ odrzekł Józef, „a ja w téj chwili idę do niego, by go do odpowiedzialności pociągnąć,“ — to rzekłszy znikł w sieni.

Pan Baltazar, załatwiwszy się z interesami dość wcześnie podążał w chwili właśnie, gdy biła 10 g., do domu. Po drodze układał wyrazy, jakimi powinszować chciał ukochanéj swéj Łusi, — chciał to uczynić i zgrabnie i składnie i zastósować je do podarunku, jaki jéj chciał wręczyć. Naprzód już cieszył się miłą niespodzianką, jaką sprawi żonie, — nie przeczuwając, że go inna wcale nie miła czeka niespodzianka. — Wszedłszy do mieszkania udał się najprzód do kuchni, żeby się zapytać służącéj, czy jest zegar. Służąca jednak, spostrzegłszy wchodzącego pana, nie czekając na przemówienie jego ozwała się: „panie, przed godziną odjechała pani z rzeczami do rodziców.“ — Pana Baltazara, jak gdyby był grom uderzył; — „co mówisz? pani odjechała, gdzie, dokąd, po co, czemu? „Nic nie wiem“, odrzekła szużąca, „na stole leży list do pana.“

Baltazar drżącą ręką rozerwał kopertę i przebiegł jednym rzutem oka kilka wierszy, które list zawierał. Pierwszym jednak razem i drugim tak mu się głoski pojedyncze zlewały, że nic nie mógł przeczytać, dopiero trzeci raz przeczytał następujące, ręką pospieszną nakreślone słowa:

Baltazarze!

Dosyć tych wszystkich podstępów twoich, któremi mnie oszukujesz; mnie, która kochałam cię zawsze sercem i duszą. — Dotąd zapominałam i przebaczałam ci zawsze wszystkie występki twoje, — dziś jednak, wymierzyłeś mi policzek, za który nie masz przebaczenia. — Odjeżdżam do rodziców, — bądź zdrów, — u Halki znaleziesz pociechę. *Łucya.*

Nieszczęśliwemu małżonkowi wypadł list z ręku; schwycił się obiema rękami za głowę, a nie mogąc pochwycić żadnéj myśli stałéj, chodził po pokoju powtarzając pojedyncze wyrazy: „odjechała, — policzek, — Łusia, — Halka, — oszukuję, — przebaczenia nie masz, — pociechę u Halki; — nieszczęsna Halko, cóżeś znów nabroiła? — Czym ja szalony, — czy ludzie zmysły potracili, — dzisiaj jéj imieniny, sprosiliśmy gości, — ona odjechała, — niech się w ziemię zapadnę, jeżeli coś z tego rozumiem.“

Szerokiemi krokami biegał Baltazar po pokoju, — czuprynę darł na głowie, — brodę targał z gniewu, rękoma wywijał na wszystkie strony, — biadał, — klął, — wzdychał, — śmiał się, — pięści zaciskał — wreszcie zawołał na służącą. — Zamiast niéj ujrzał jednak we drzwiach nieznanego sobie mężczyznę, który zbliżywszy się do biegającego po pokoju ozwał się: „Jestem Józef Wołdyński, zegarmistrz“, — pan Baltazar stanął przed nieznajomym, wpatrzył się w niego i rzekł: „być może, i czemże mam panu służyć.“

„Mam narzeczoną“, ozwał się nieznajomy.

„Ciesz się pan, że jeszcze nie jest żoną pańską“, była odpowiedź.

„Pan szydzisz ze mnie.“

„Nie mam przyczyny, ani ku temu usposobiony dziś nie jestem, — owszem, mówię na seryo.“

„Ale pan masz żonę, a mimo tego —.“

„To jest mam, — nie mam, — raczéj miałem, obecnie jéj nie mam, — cóż pana to obchodzi?“ ozwał się Baltazar.

„Obchodzi mnie to o tyle, że pan mając żonę, usiłujesz zawiązać stosunki z narzeczoną moją.“

„Panie dosyć tego“, — krzyknął w najwyższéj złości p. Kukasiński, „jeżeli i pan należysz do tych, którzy się uwzięli dziś na to, żeby mi w głowie przewracać, to patrz pan —“ pan Baltazar sięgnął po kij sękaty stojący około szafy, a trząsnąwszy nim groźnie dodał; „i mnie w końcu cierpliwości zabraknie i potrafię się obronić, a teraz proszę“ — rzekł wskazując rękę na drzwi.

Zmieszany dzikim wzrokiem Baltazarego narzeczony Halki spoglądał raz na swego przeciwnika, drugi raz na kij sękaty w jego ręku. Będąc sam bezbronnym, zaczął powoli ku drzwiom rejterować, — we drzwiach rzekł: „wychodzę, panie Kukasiński, ale sądzę, że wkrótce będę miał przyjemność rozprawić się z panem z pistoletem w ręku na kilka kroków. I ja potrafię bronić honoru mego“ — i wyszedł.

„Pojedynkiem mi grozi“, rzekł do siebie Baltazar, i to jakiś waryat. Ja mu narzeczoną jego bałamucę? ha, ha, ha, — czyż nie znajduję się przypadkiem w Owinskach? Łusia odjechała, — zegarmistrz jakiś pojedynkiem mi grozi, — a to czyste skaranie Boże. — O ja najnieszczęśliwszy człowiek w świecie. — W téj chwili zastukano do drzwi. „Proszę“ krzyknął Baltazar. — Do pokoju weszła Halka, okryta czarnym szalem, pod którym coś miała. „Pani tu?“ zawołał p. Baltazar, „ależ sam jestem, żona wyjechała.“

„Bardzo rozsądnie sobie postąpiła“, odrzekło dziewczę, „nie jest pan godzien takiéj żony, — bo nietylko, że ją pan martwisz, ale siejesz niezgodę między narzeczonymi, którzy się kochają.“ Baltazar oniemiał z gniewu i zdumienia, „jakiém prawem pozwalasz sobie pani czynić mi podobne zarzuty?“ spytał szorstko. „A jakiém prawem pozwalasz sobie pan przysyłać mi takie ot rzeczy?“ spytała Halka, wyjmując z pod szalu zegar stołowy i stawiając go na stół. — „Żałuję, że nie zastałam żony pańskiéj w domu, byłaby się przekonała, że nie jestem osobą niemoralną, jak mi dziś rano zarzucała, ale że pan bez méj wiedzy pozwoliłeś sobie uczynić coś, czegoś się pan powinien, jako człowiek mający żonę wstydzić“. Halka nie czekając odpowiedzi zdumionego p. Kukasińskiego, wyszła z pokoju.

Gdyby się w téj chwili szatan był ukazał w całéj okropnéj swéj postaci, pan Baltazar nie byłby mu się pewnie był bardziéj przestraszonemi oczyma przyglądał, jak zegarowi, stojącemu przed nim na stole. „Do milion set kroć sto tysięcy fur beczek, — oszalałem! niepodobna inaczéj; nie rozumiem, nie pojmuję tego co się dziś ze mną dzieje, — czy piekło sprzysięgło się na mnie i wyprawia ze mną swe harce?“ Ten zegar u Halki? Kasia! krzyknął z całéj siły na służącą, która przestraszona w téj chwili przed nim stanęła.

„Nie był tu dziś rano u ciebie posłaniec w niebieskiéj bluzie, z Nr. 24tym na czapce?“

„Przepraszam wielmożnego pana“, przerwała mu zarumieniona Kasia, „ja u siebie mężczyzn nie przyjmuję.“

„Milcz! bodaj cię trzysta kapeluszy, drobnemi śledziami wypchanych, — słuchaj o co cię spytam!“ wrzasnął p. Kukasiński, „i powiedz czy ci tu dziś rano posłaniec zegaru nie oddał?“

„Nie oddał, proszę wielmożnego pana“, odrzekła wystraszona Kasia.

„Ruszaj sobie“, krzyknął p. Baltazary, „wiem dosyć. To ten błazen w niebieskiéj bluzie narobił mi całéj historyi; „ubiję szelma na sztuki, chyba go szatan zaprowadził na św. Marcin do Halki.“ Pan Kukasiński pochwycił kij, wsadził czapkę na głowę, wziął futro na ramiona i popędził na Stary Rynek, gdzie obok figury św. Jana stawał zwykle posłaniec

w niebieskiéj bluzie z Nr. 24tym na czapce. Po drodze wstąpił na policyą i zabrał ze sobą konstablera. „Oddam błazna na policyą“, mruczał pod nosem Baltazar, „za całe dzisiejsze zmartwienie moje pomszczę się przynajmniéj na nim. A szelma, urwisz, — ale co go spowodować mogło u kata zanieść zegar do Halki?“ Człowiek z Nr. 24. z daleka chwycił za czapkę widząc p. Baltazara spiesznie zbliżającego się do niego: „sprawiłem dobrze, wielmożny panie“, ozwał się z daleka, „panienka ucieszyła się bardzo, — może by na piwo.“

„Poczekaj hultaju! dam ja ci na piwo“, krzyknął Baltazar nie mogąc się pohamować ze złości, „dokądżeś ty dziś zaniósł ten zegar, którym ci go wręczył?“

„Po adresie, po adresie! wielmożny panie“, tłómaczył się człowiek z Nr. 24. „podług kartki, jaką dostałem.“

„Masz ją?“ spytał Baltazar.

„Mam, wielmożny panie“, odrzekł człowiek, odpinając skórzaną torebkę.

„Dawaj ją“ rzekł Baltazar.

Około p. Kukasińskiego, konstablera i człowieka w bluzie z Nr. 24. zgromadziła się na Starym Rynku dość znaczna liczba przechodniów i chłopaków ulicznych przyglądających się ciekawie. — Pan Baltazar szybko schwycił za kartkę, podaną sobie przez człowieka, rzucił na nią okiem i przeczytał:

„Halina Z......,
krawcowa i marszantka.
Św. Marcin Nr... 3 piętro.

P. Baltazar potarł się po czole; śmiech poigrał mu na twarzy, stłumiwszy go jednak rzekł do człowieka w bluzie: „przepraszam was, sprawiliście się dobrze, — macie talara na piwo.“

„A co nie mówiłem?“ rzekł tryumfująco posłaniec, „dziękuję wielmożnemu panu.“

„Nu, wie stehts?“ spytał konstabler p. Baltazara.

„Małe nieporozumienie i zamiana kartki wizytowéj, narobiły mi dużo ambarasu“, odrzekł p. Kukasiński, „przepraszam pana, żem go niepotrzebnie fatygował.“ „Empfehle mich bestens“, odrzekł konstabler, przykładając palce do czapki i poszedł. — Pan Kukasiński niemile dotknięty gawiedzią, stojącą na około niego, którą teraz dopiero spostrzegł, wskoczył do doróżki i pojechał do domu.

4.

Okna mieszkania rodziców p. Kukasińskiéj wychodziły na Stary Rynek. — Łucya wypłakawszy się na łonie matki, nażaliwszy się przed ojcem, usiadła przy oknie i przypatrywała się życiu, jakie panowało dziś na Rynku. Naraz spostrzegła męża swego, nadzwyczaj wzburzonego, idącego z konstablerem ku cukierni Pfitznera. Widziała, jak się zbliżył do człowieka, stojącego pod figurą św. Jana, — przyglądała się całéj rozmowie jego z nim i zainteresowały ją groźne i żywe jego giesta, a mianowicie kij jego sękaty w ręku, który, jak wiedziała, rzadko kiedy brał z sobą. — Gdy się zbiegowisko rozeszło, wysłała natychmiast służącego po człowieka z bluzą. „Słuchaj no, dobry człowieku“ ozwała się do niego, „cóż to tam chciał on pan z konstablerem od ciebie przed chwilą?“

„Chcieli mnie do ciupy zasadzić“, odrzekł zapytany.

„I za co?“ spytała p. Kukasińska.

„Ha — to zabawna historya, proszę wielmożnéj pani; dziś rano kupił ten pan zegar stołowy, dał mi karteczkę i zegar z poleceniem, żebym go zaniósł podług adresu, znajdującego się na karteczce. — Zaniosłem go więc pannie jednéj na św. Marcin, — bo na karteczce stało jéj nazwisko i pomieszkanie. Przed chwilą wpada na mnie ten sam pan z konstablerem wykrzykując, żem we fałszywe miejsce zaniósł zegar. Na szczęście miałem oną kartkę przy sobie i udowodniłem onemu panu, żem się zastósował do jego życzenia, i to wszystko.“

„I cóż daléj się stało?“ spytała p. Łucya.

„Pokazałem karteczkę, pan spojrzał na nią i uśmiechnął się. Wydobył potém talara, — przeprosił mnie, i dał mi go na piwo. — Do konstablera potem powiedział, że pomylił się, że dał mi fałszywą kartkę i narobił sobie i kilku innym osobom wiele ambarasu.“

„Dziękuję wam“ rzekła p. Łucya, „macie na piwo, możecie iść;“ — człowiek w bluzie podziękował i poszedł, dziwiąc się szczególniejszemu swemu szczęściu dziś do zarabiania w łatwy sposób na piwo.

P. Łucya zadumała się po odejściu jego; „niezawodnie to kartka Halki, którą wczoraj u mnie zostawiła“ pomyślała sobie, i w pół godziny późniéj powracała, co koń wyskoczy na Królewską ulicę. — Wchodząc do mieszkania, zastała męża ubierającego się; wybierał się właśnie na Stary Rynek, aby wytłómaczyć żonie dziwny zbieg okoliczności, które się przyczyniły do całego dzisiejszego nieporozumienia.

„Jesteś, słonko moje!“ zawołał p. Baltazar uradowany, spostrzegłszy wchodzącą żonę.

„Jestem, mój aniołku!“ odrzekła Łucya, przybyłam, by cię przeprosić za porywczość moję i zbytnią podejrzliwość.“

„Więc pozwól, niech cię uściskam i powinszuję“, rzekł szczęśliwy małżonek; „patrz, otóż tu leży przyczyna poróżnienia się naszego, — twoich łez, a mego gniewu i zmartwienia; — oby one były ostatniemi.“

„Dobrze się domyślałam“, rzekła Łucya, biorąc kartkę w rękę, „tak, tak, to ta sama, którą mi wczoraj Halka zostawiła.“ „A którą wczoraj mimowolnie włożyłem do kieszonki paletota, w któréj zwykle noszę moje własne karteczki, i dziś ją przez omyłkę dałem posłańcowi zamiast mojéj.“

„Wierzę ci mój aniołku, i odtąd wierzyć będę ci zawsze.“

„A tu stoi prezent dla ciebie, który dziś na imieniny twoje kupiłem“, rzekł Baltazar, wskazując na zegar, „oby wszystkie godziny, które ci on wskazywać będzie, płynęły ci wesoło i szczęśliwie, — a jak te dwie wskazówki chodzą obok siebie, wspierając się nawzajem w pełnieniu swych obowiązków, tak Bóg daj, abyśmy oboje w zgodzie i miłości, w zaufaniu wzajemném żyli odtąd szczęśliwie, wspierając się wzajemnie w wypełnianiu obowiązków, które nam los nałożył.“

„Daj Boże!“ rzekła Łucya do łez rozrzewniona, rzucając się w objęcia męża, — i popłakali się oboje, — i pierwszy to raz płakali nad sobą państwo Kukasińscy — z szczęścia i radości.

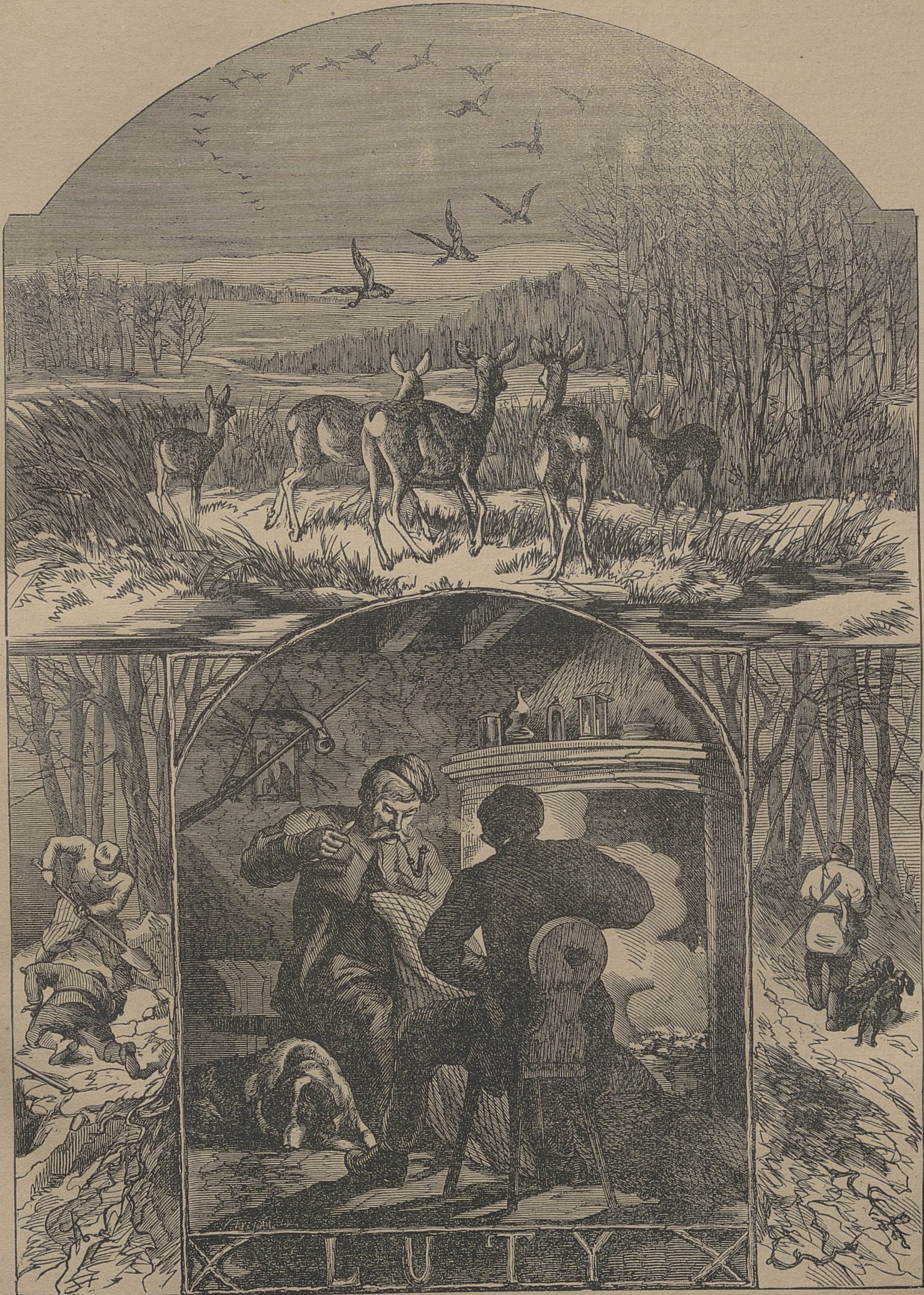
W téj chwili weszła Kasia do pokoju, a widząc oboje państwo płaczących nad sobą i ściskających się, cofnęła się napowrót.

„Nie! — rzekła do siebie, „wiele już rzeczy widziałam w świecie, ale tego wyrozumieć nie mogę, co ci państwo moi dziś robią. Uciekają od siebie, — gniewają się, — ściskają się, — płaczą nad sobą, — krzyczą nad ludźmi, — za drzwi ich wyrzucają — i to wszystko w przeciągu czterech godzin. Widać, że człowiek ma za ciasny rozum, żeby to wszystko pojął.“

I wypogodził się horyzont małżeński państwa Kukasińskich, i panu Baltazarowi zaświeciło znów „słonko“ jego jasno i pięknie. — Wieczorem zeszli się sproszeni goście, by szanownéj solenizantce złożyć ustne życzenia. I mnie spotkał ten zaszczyt znajdować się w gronie zaproszonych gości; bawiliśmy się mile i wesoło, i szczerze uśmialiśmy się z opowiadania p. Baltazara dzisiejszych swoich, jak się wyraził, tarapatów.

Poznałem tam także i Halkę, dodać mi bowiem wypada, że państwo Kukasińscy, aby wynagrodzić wszystko złe, którego dziś, choć mimowoli przyczyną się stali, wybrali się osobiście do Halki, przeprosili ją wraz z narzeczonym za przykrość jaką im dziś wyrządzili, wytłómaczyli im nieporozumienie, jakie zaszło i zaprosili oboje na dzisiejszy wieczorek. — Oboje narzeczeni zrobili na mnie dobre wrażenie, a poznawszy oczy Halki nie dziwiłem się p. Baltazarowi, że w blasku ich mógł czasami na chwilę zapomnieć o „własnem słonku.“ — Późno po północy rozeszliśmy się w najlepszym humorze do domu.

I zdaje się, że szczerze i z namaszczeniem wygłoszone życzenia p. Baltazara w dniu imienin ukochanéj Łusi odniosły pożądany skutek. — Państwo Kukasińscy żyją odtąd błogo


LUTY

i szczęśliwie, — nie znają swarów i wystrzegają się wszystkiego, coby ich poróżnić mogło. Pani Łucya wyrzuciła z serca zazdrość i podejrzliwość i dziś ufa „aniołkowi swemu“ nieograniczenie; — pan Baltazar nie nadużywa zaufania żony, — a choć i dziś jeszcze zawziętym jest astronomem, to jednak studya jego nie psują krwi ukochanéj Łusi. Owszem, gdy jéj Baltazar przez teleskopy i dalekowidze, ukaże raz po raz cuda na gwiaździstém niebie, Łusia w zachwyceniu odzywa się do męża: „czyż nie prawda aniołku, że lepiéj obserwować te gwiazdy, aniżeli chodzące po ziemi?“

„Bo też widzisz, Łusiu, najlepiéj obserwować gwiazdy wtenczas, gdy słoneczko zajdzie i na nas nie patrzy, a moje „słonko“ dawniéj zbyt raźno jakoś patrzyło mi na oczy“, odpowiada Baltazar.

Gorący całus ukochanéj Łusi zamyka zwykle usta żartującemu małżonkowi.

I na tém mógłbym skończyć opowiadanie moje, zanim to jednak uczynię, pozwolę sobie dodać kilka uwag od siebie i to najprzód do Was nadobne Czytelniczki: po pierwsze: jeżeli opowiadanie moje Was zainteresowało, cieszyć się będę niewymownie, ale gdybyście może chciały dowiedzieć się jeszcze więcéj szczegółów odnoszących się do „tarapat p. Baltazara“ i w tym celu może udać się do człowieka w niebieskiéj bluzie z No. 24tym na czapce, to naprzód ostrzegam Was, Łaskawe Panie, że niczego się od niego więcéj nie dowiecie, bo numer ten i niebieską bluzę już dziś inny człowiek nosi na sobie; po drugie: biorąc naukę z opowiadania mego, radzę Wam Łaskawe Czytelniczki, abyście się strzegły zazdrości i podejrzliwości, jako dwóch wad, które i w najlepszém stadle małżeńskiém zasiać mogą niezgodę.

A Wam, Szanowni Czytelnicy, jeżeli macie żony, radzę, byście po za szczęściem domowego pożycia nie szukali innego, pomnąc na „tarapaty Baltazara“; a jeżelić którego z Was wrodzony zmysł i poczucie piękna całą siłą zmuszać będzie do obserwacyi ciał niebieskich i studyów pseudo-astronomicznych, toć podziwiajcie i cieszcie się nad pięknością natury, wraz z panem Baltazarem, ale nie wtenczas, gdy „słonko“ świeci. —

KONIEC

ANDRZÉJ NIEGOLEWSKI.

(Ciąg dalszy).

Przystępujemy teraz do krótkiego opisu zdobycia wąwozu Somo-sierra, „w któréj bitwie“ jak pisze jenerał Józef Załuski, „Niegolewski najwięcéj się odznaczał.“

Jak wiadomo Napoleon osadził na tronie hiszpańskim brata swego Józefa, który atoli 1808 r. w skutek rewolucyi musiał z Madrytu ustąpić. Wtedy Napoleon wkroczył z licznem wojskiem do Hiszpanii i udał się prosto na Madryt, aby stłumić rewolucyą w głównem ognisku. Rozległe pasmo gór wstrzymało zwycięzki pochód Napoleona. Jedyny tylko wąwóz Somo-sierra był drogą, wiodącą przez te góry do Madrytu. Jest to cieśnina 8 do 10 łokci długa, pomiędzy dwoma wysokiemi skałami. Wąwóz ten wije się wciąż pod górę ślimakowato, tak że tworzy cztery zagięcia czyli kolana zanim szczyt można osięgnąć. Otóż Hiszpanie dowiedziawszy się o pochodzie Napoleona, obwarowali ten wąwóz tak silnie, że jak mówi Niegolewski „podług pojęć ludzkich był niezdobyty.“ W każdém zagięciu wąwozu ustawili po cztery armaty, które nacierających pod górę śmiertelnym ogniem witały. Szesnaście zatem armat broniło przystępu w samym wąwozie. Obydwie ściany wąwozu obsadziła piechota hiszpańska, która morderczemi strzałami raziła przeciwników. A zatem wojsko, zdobywające ten wąwóz, musiało cztery razy zdobywać armaty a prócz tego było wystawione na strzały kilkunastu tysięcy żołnierzy, znajdujących się na gór szczytach. Położenie zaiste dla nacierających niemiłe.

Było to 30 Listopada 1808 r. w dzień ś. Andrzeja, kiedy Napoleon stanął przed wąwozem Somo-sierra. Rozpoznał on wnet groźne położenie. Wysłał oddział francuzkiéj jazdy na zdobycie, ale tu gradem kul powitana, wnet się cofnęła. Wtedy zwrócił Napoleon uwagę na Polaków, bo znał dobrze nieustraszone ich męztwo. Wydał zatem rozkaz, aby szwadron lekkokonnego pułku polskich szwoleżerów uderzył na wąwóz. Podobno marszałek Bessieres zwrócił uwagę cesarza, że czyn taki jest niepodobnym, ale Napoleon odrzekł: „Zostaw to Polakom i zrób swoje“ Mówię podobno, gdyż ani jenerał Załuski w „Wspomnieniach o pułku lekkokonnym polskim,“ ani pułkownik Niegolewski w dziełku: „Somo-sierra“ nic o tem nie piszą.

Szwadron ten składał się wówczas z 3 i 7 kompanii i liczył tylko 125 ludzi. Dowódzca szwadronu Kozietulski, odebrawszy rozkaz, kazał się uformować w czwórki i popędził naprzód. „Nie słyszałem nic“, mawiał później Kozietulski, „prócz rozkazu Napoleona; nie widziałem nic, prócz dział nieprzyjacielskich, wyrzucających na nas grad kartaczy. Działa te musiały być wzięte, choćby przyszło ostatniemu żołnierzowi je zabrać. Nie ma słów któreby wystawić mogły okropność „położenia; wyobrażenie piekła blednie przy wspomnieniu téj chwili.“

W przyszłym numerze podamy opisy zdobycia wąwozu przez jenerała Załuskiego i pułkownika Niegolewskiego, a obecnie ograniczamy się na krótkim, treściwym a co główna bezstronnym ustępie z słynnego dzieła: „*Victoires et Conquètes des Français de 1792 à 1815.*“

Oto są słowa tego przytoczonego dzieła:

„Cesarz daje rozkaz szwadronowi szwoleżerów polskich będącemu przy nim na służbie, natarcia na artyleryą nieprzyjacielską, która z wierzchołka cieśniny ostrzeliwała gościniec. Weleczny ten oddział prowadzony przez szefa szwadronu Kozietulskiego, posunął się natychmiast w kolumnie czwórkami, ponieważ gościniec nie dozwalał szerszego rozwinięcia.

„Wybiedz na górę galopem pomimo najokropniejszego gradu kartaczów i krzyżowego ognia pieszéj strzelby, przewrócić wszystko, cokolwiek się opierało natarciu, opanować niedostępne stanowisko nieprzyjaciela, było dziełem jednéj chwili, i wszystko, artylerya, piechota zostało zdobyte, zrąbane, rozproszone, odcięte lub zabrane.“

Oto tak pisze Francuz o bohaterskim czynie Polaków. Z tego się można przekonać, że opowiadania polskie o wzięciu Somo-sierry są zupełnie prawdziwe.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Miesiąc Luty.

W Lutym już polowanie zaczyna się kończyć, tylko na lisy odbywają się jeszcze wyprawy, jak to widzimy na obrazku. Dawniéj było regołą, że skoro myśliwy [pierwszego usłyszał skowronka, wnet zaprzestał polowania. Dziś prozaiczna nstawa rzędowa tego zabrania. Czażki i kaczki już zaczynają zwykle

w Lutym się zjawiać. Myśliwcy mając czas, gdyż wieczory jeszcze długie, wyporządzają sieci i robią nowe, gdyż jest zapas przędziwa z zimy.

Dawniéj myśliwcy i ziemianie przywięzywali ważne znaki do święta N. Maryi Panny Gromnicznéj. Jeżeli w tym dniu ptaszek napije się wody z kolei na drodze, będzie jeszcze długa i trwała zima. Na gromnicę rozwala niedźwiedź budę, jeżeli mróz tęgi, a poprawia i okrywa ją, jeżeli odwilż i łagodne powietrze, to znaczy że w takim razie jeszcze będzie znaczne zimno. Owczarz woli w to święto, aby mu wilk wpadł do obory, aniżeliby słońce przez drągi puste miało zaświecić do owczarni. Len ma się obrodzić, jeżeli w dzień Matki Boskiéj Gromnicznéj jest mokro. Ponieważ w bieżącym roku w dniu tym był mróz dość silny, przeto jest nadzieja, już nie będzie dokuczliwego zimna.

Uwagi Krytyczne
E. Calliera
nad
Złotą Księgą Szlachty Polskiéj,
ułożoną i wydaną przez
Teodora Żychlińskiego.
II.
Arciszewscy herbu Rola.

Wypowiedziawszy*) zdanie moje o ogólnéj wartości tego rodzaju publikacyi i zaznaczywszy zapatrywanie moje na takie prace, przystępuję do szczegółowego rozbioru wykazanych w Złotéj Księdze monografii i zamieszczonych w niéj samodzielnych przypisków autora.

Mówi p. Żychliński na str. 67 w przypisku 3im co następuje: „Arciszewskich podaje Niesiecki dwie rodziny, jedną herbu Prawdzic; z niéj słynny Krzysztof, kasztelan Przemyski, starosta Kamieniecki i generał artyleryi Koronnéj, a późniéj admirał floty Holenderskiéj; oraz brat jego Piotr, kasztelan Sanocki i starosta Pilźnieński, pułkownik wojsk J. K. M; — druga herbu Rola. Paprocki obie rodziny jedną być mieni i nadaje im herb Prawdzic. Sądzimy, że Paprocki ma słuszność, choć w istocie Arciszewscy w Łęczyckiem i Poznańskiem osiedli pieczętowali się w końcu także i Rolą.“

Jeżeli w dziełach poważnych przypiski zwykle zawierają jaką treść naukową, jakie bliższe określenie traktowanego przedmiotu i t. p. — przypisek powyższy nietylko że nic stanowczego nie wypowiada i że nic nie objaśnia, lecz owszem zaciemnia nawet wątpliwość, jaka się wkradła do dzieł heraldycznych i przemawia za tém, że autor o Arciszewskich w ogóle nic, albo nie wiele więcéj wie od Niesieckiego.

Ponieważ zaś wspomniany Arciszewski Krzysztof jest postacią historyczną, któréj nie znać *nie wolno* wykształconemu Polakowi, osobny o nim zamieszczę artykuł w Lechu, ograniczając sie dziś na następujących uwagach:

Wiadomo powszechnie, że swego czasu szlachta polska nazwiska swoje brała od włości, jaką posiadała. Zanim nazwisko takie przyczepiło się do jednéj i téj saméj rodziny, mógł dom szlachecki, który często zmieniał swe majątki, występować pod kilkoma nazwiskami. I tak, jeżeli n. p. Piotr posiadał kolejno Baranów, Gąsiorowo, Kozłów, nazywał się w miarę tego Baranowskim, Gąsiorowskim, Kozłowskim, lub też Piotrem z Baranowa, z Gąsiorowa, z Kozłowa. Przed ustaleniem się stanowczém nazwisk rodowych zdarzyło się także, iż n. p. Paweł z Kurowa, posiadający trzy inne jeszcze majątki, podzielił je między swych synów, tak, że Maciejowi dostał się Borów, Jakóbowi Chlebowo, a Mikołajowi Chociszew. Ojciec tedy zwał się Kurowskim, a trzéj rodzeni bracia, synowie jego, Borowskim, Chlebowskim i Chociszewskim. — Tak ojcowie nasi kochali ongi ziemię swoją, że nazwę jéj przekładali nad nazwisko rodowe, zadawolniając się nazwą wsi, herbem dziedzicznym i imieniem, jakie im przypadło na chrzcie.

*) ob. No. 3. Lecha.

Okoliczności te utrudniając nadzwyczaj poszukiwania genealogiczne, ułatwiają podszywanie się pod obce nazwiska i herby.

Arciszewscy nazwisko swoje wzięli od Arciszewa. Znaną powszechnie jest wieś tejże nazwy, w Płockiem, nad Ryką, i uchodzi za gniazdo Arciszewskich. Krasicki przecież znał drugi Arciszew na Pomorzu i uważał go także za gniazdo Arciszewskich. Faktem jest niezaprzeczonym, że i na Pomorzu kwitł tegoż nazwiska dom szlachecki. Z tąd wynika, że istniały dwie rodziny, odrębne, Arciszewskich: jedna herbu Prawdzic, druga herbu Rola; spotkałem się też wprawdzie z Arciszewskimi herbu Świerczek, ale są to prawdopodobnie Arciuszkiewicze tegóż herbu. Co zaś do Arciszewa, jednego w Płockiem a drugiego na Pomorzu, nie śmiem rozstrzygnąć, który należał do Arciszewskich herbu Rola, a który do Arciszewskich herbu Prawdzic.

Poszukiwania moje w przedmiocie rodziny Arciszewskich spowodowały mnie do następujących uwag.

Słynny wojownik Krzysztof Arciszewski pieczętował się herbem Rola a nie Prawdzicem, jak tego chcą przywiedzieni w przypisku p. Żychlińskiego heraldycy i Lelewel, w tomie VI Dzieł swoich na str. 387. Najwymowniejszym tego dowodem jest medal jaki Stany Holenderskie umyślnie dla niego bić kazały na pamiątkę czynów jego, dokonanych w Brazylii.

Medal ten wyobraża na głównéj stronie twierdzę Rio Janeiro ku któréj widać postępujących na jéj zdobycie żołnierzy Holenderskich, prowadzonych przez Arciszewskiego. Na wysokim słupie zawieszony jest herb *Rola* i zwycięzkie trofea z wieńcem laurowym, i napisem:

Victricem accipe laurum
Hostis Hisp. profligatus.

Na odwrotnéj zaś stronie medalu czytamy:

Heroi, generis nobilitate, armorum et litterarum scientia longe praestantissimo Christophoro ab Artischevia Arciszewski rebus in Brasilia per triennium prudentis. fortis. felicissime gestis, Societas Americana suae gratitudinis et ipsius fortitudinis ac fidei hoc monumentum esse voluit Anno a Christo nato 1637.

Tak opisuje medal ten Karol Milewski w Pamiątkach Historycznych, str. 252—4, i w Bibliotece Warszawskiéj, Rok 1842, Tom IV, str. 135 powołując się na Spis Medalów Bentkowskiego i Gabinet Medalów Raczyńskiego; tak Przyjaciel Ludu *) Leszczyński, Rok VI, Tom I, str. 101, i Krzyżanowski w Dawnéj Polsce, II, 406. — Święcki zaś i Niemcewicz w Zbiorze Pamiętników, IV, 203. podając odmienny nieco napis, kładą rok 1657.

Ten Krzysztof Arciszewski, i rodzina jego, używał tedy herbu Rola. Przytoczony przez p. Żychlińskiego Paprocki mógł nie znać Roliczów tegoż nazwiska; za czasów jego nie zwracali może uwagi na siebie. Ale Herbarz Paprockiego nie wykazuje w ogóle żadnych Arciszewskich, ani Prawdziców, ani Roliczów; jeżeli zaś p. Żychliński nie szedł ślepo za Niesieckim, który się powołuje na Paprockiego, mówiąc o Arciszewskich herbu Rola, powinien był wyszczególnić odnośne dzieło Paprockiego; pod Paprockim bowiem rozumie się powszechnie Herbarz jego. Herbarz ten wylicza pomiędzy Roliczami Ercieszowskiego, który może nic nie miał wspólnego z Arciszewskimi, jak o tem wspomnę w ciągu tych uwag. Drugie znaczniejsze dzieło heraldyczne Paprockiego jest Gniazdo Cnoty, wydane r. 1578 czyli sześć lat przed herbarzem. Ale i w „Gnieździe“ tem sprawdzić nie mogę przywiedzionych powyżéj twierdzeń; pod herbem Prawdzic albowiem nie wykazuje Paprocki nic podobnego do Arciszewskich, pod herbem Rola zaś Arciechowskich, którzy się pieczętują herbem Grabie.

Co w obec tego znaczyć ma sąd p. Żychlińskiego: „że Paprocki ma słuszność“, i dodatek jego, że „Arciszewscy w Łęczyckiem i Poznańskiem osiedli pieczętowali się w końcu także i Rolą“ — wytłomaczyć sobie nie umiem; zwłaszcza dodatek, jakoby Arciszewscy pieczętowali się *„w końcu także i Rolą,“* całkiem mi jest niezrozumiały. —

Zastanowienia godnem jest, że Niesiecki nie znał dokładnéj, lub też znać nie chciał Krzysztofa Arciszewskiego, którego imię, głośne w całym współczesnym świecie, w niespełna sto lat przebrzmieć jeszcze nie było mogło w kraju rodzinnym.

*) Przyjaciel Ludu nie wymienia herbu.

„Tobiasz Arciszewski, mówi Niesiecki, miał dwóch synów: Krzysztofa, kasztelana Przemyskiego, starostę Kamienieckiego, generała artyleryi koronnéj i Piotra, kasztelana Sanockiego, starostę Pilźnieńskiego, pułkownika Królewskiego, i córkę Elżbietę za Ezdraszem Domaradzkim-Jastrzębczykiem. Ci dwaj bracia wyszedłszy potem z Polski, w cudzych państwach wielkiemi ludźmi słynęli, z których jeden był admirałem floty Holenderskiéj.“ —

Owóż wszystko, co Niesiecki podał o Arciszewskich herbu „Prawdzic,“ a co podał, jest po większéj części mylne i niedokładne.

Współczesny Krzysztofowi Arciszewskiemu heraldyk Okolski zna tylko Jakóba Arciszewskiego herbu Rola, którego Paprocki zwie Ercieszowskim, a innych tegoż nazwiska i herbu zbywa następującemi ogólnikami: „*Extant alii eximii bellatores et in externis nationibus referentes laudem. Nunquam potest non esse virtuti locus. Hi sicut bello clari esse semper māluerunt, ita quoque ad virtutem proni extiterunt. Est unus ex illis nunc tenutarius Constantinoviae veteris.*“

Niemcewicz, w Zbiorze Pamiętników, IV, str. 269, zwie naszego Krzysztofa mylnie synem Albrychta.

Nowsze tymczasem badania wykazały, że Krzysztof ten był synem Eljasza i Heleny z Zakrzewskich, a bratem Eljasza młodszego, i że urodził się w Rogalinie dnia 6 grudnia 1592. — jak o tem p. Żychliński przekonać się mógł z powszechnie znanego Przyjaciela Ludu Leszczyńskiego i z Orgelbranda Encyklopedyi Powszechnéj.

Przypisek wreszcie, powtórzony tu na wstępie, podał autor z powodu Jadwigi Arciszewskiéj herbu „Prawdzic“, wydanéj za Jakóba Gąsiorowskiego. Wypadałoby ztąd wnioskować, że wspomniana Jadwiga krewną była Arciszewskich herbu Rola; to zaś sprzeciwiałoby się przyjętéj powszechnie zasadzie o wspólności nazwisk i herbów; albo téż wypadałoby wątpić, czy autor właściwy jéj herb wymienił.

Był Jakób Gąsiorowski współczesnym Eljasza Arciszewskiego, ojca Krzysztofa; mogła tedy Jadwiga być współczesną tegoż Krzysztofa. Ścisłości genealogicznéj nie doszukasz się w przypisku p. Żychlińskiego; — jest prawdopodobieństwo, które przypuściwszy raz, wypadałoby zmienić nazwę herbu Jadwigi Arciszewskiéj. —

W dziełach zakroju tego, jakiego jest Złota Księga, usterki tego rodzaju żadną miarą uchodzić nie mogą. Nie wolno heraldykowi nowoczesnemu nie znać rzeczy *powszechnie znanych;* nie wolno mu wierzyć bezwarunkowo herbarzom, a tem mniéj przewracać kota w worku wbrew historycznéj prawdzie, mianując Krzysztofa Arciszewskiego generałem nad artyleryą Koronną, zanim tenże został „admirałem“, jak to uczynił p. Żychliński w przywiedzionym powyżéj przypisku.

Wątpliwem zdaje mi się zresztą w ogóle admiralstwo naszego Krzysztofa, aczkolwiek o niem wspominają Grądzki Samuel, Siarczyński i Niesiecki, o kasztelanji zaś Przemyskiéj i starostwie Kamienieckiem nic pewnego znaleźć nie mogłem w źródłach, jakie mam pod ręką. W poczcie kasztelanów Przemyskich, pomiędzy r. 1620 a 1660, nie wykazuje Niesiecki ani Krzysztofa Arciszewskiego, ani brata jego, którego heraldyk ten zwie Piotrem herbu Prawdzic i mieni kasztelanem Sanockim, starostą Pilźnieńskim. — Przewodnik heraldyczny Kosińskiego wykazuje, między r. 1650 a 1660, dwóch kasztelanów Arciszewskich herbu Rola, ale jednego w Kujawach a drugiego na Rusi Czerwonéj; kasztelanje zaś Niesieckiego są obie na Rusi.

* * *

Ojcem naszego Krzysztofa był Eliasz Arciszewski herbu Rola, małżonek Heleny Zakrzewskiéj, jak téż z zgodnie prawdą zapisuje autor Złotéj Księgi na str. 348. Tu zapomniał był niezawodnie, co dopisał na str. 67, powołując się na Paprockiego i Niesieckiego, który ojca Krzysztofa zwie Tobiaszem; — tu zgodnie z prawdą mieni Krzysztofa „sławnym generałem (?) Holenderskim, a następnie polskim generałem artyleryi,“ podczas gdy na str. 67 Krzysztof jego jest wprzód „generałem artylerji Koronnéj, a później admirałem floty Holenderskiéj.“

Więcéj atoli zastanawia mnie to, że mówiąc o Helenie z Zakrzewskich, przemilczał drugiego syna jéj Eljasza,*) słynnego swego czasu Socyanina. Uzupełniając w téj mierze p. Żychlińskiego, słów kilka powiem o jednym i drugim Eljaszu.

Rodem z Arciszewa, zaślubiwszy Helenę z Zakrzewskich dziedziczkę Rogalina, przeniósł się Eliasz starszy w Poznańskie, i nabył od Andrzeja Dudycza część miasta Śmigla. W szkole tamecznéj, tudzież w Zborze Socyniańskim długi czas sprawował obowiązki rektora, oraz pastora gminy; gdy następnie zmuszony był sprzedać swą część, pełnił tam jeszcze duchowne usługi aż do r. 1610. Roku 1594 wydał był w Rakowie*) dzieło Socyna *De Jesu Christo Servatore* z własną Przedmową, o któréj wspominają Jocher pod No. 3509, i Sandiusza *Bibliotheca Anti-Trinitariorum,* na str. 95.

*) Encyklopedya Powszechna i Przyjaciel Ludu.

* * *

Arciszewski Eliasz młodszy, syn Eliasza, brat starszy Krzysztofa, wyszedłszy z kraju, wstąpił do wojska Duńskiego, gdzie dosłużył się rotmistrzowstwa. Z powrotem do Ojczyzny, został sekretarzem Władysława IV; następnie dworzaninem Jana Kaźmirza: Jest on autorem wydanego r. 1649 pisma: *Scriptum in lucem emissum sub nomine cujusdam illustris Equitis Poloni Aulici Regii, quo Regii ipsi rationem reddit conscientiae suae, quod relictis aliis religionibus, uni, quam vocant Arianam, se addixerit,* i pozostałego w rękopisie listu, którego tytuł łaciński zachował nam Sandiusz w swéj *Bibliotheca Anti-Trinitariorum.* Tytuł ten brzmi: *Epistola ad Illustrem Dn. Cazanovium Mareschalcum curiae Regni, qua religionis suae, quae Ariana vulgo audit, rationem reddit.* Te dwie prace wykazuje także Historya Literatury polskiéj Wiszniewskiego. —

Święckiego Historyczne Pamiątki zapisują, prócz tego, że Eliasz ten był pułkownikiem niemieckiéj piechoty i przełożonym nad artyleryą polską.

O tymże niezawodnie Arciszewskim wspomina Lelewel, VI, 387, że posłował w Danji r. 1637, i u króla Francuzkiego czas niemały z wielką sławą imienia swojego służył, a powróciwszy do kraju, do pierwszéj czci przez dekret sejmowy przywróconym został. —

Podług Niesieckiego byłby ten brat Krzysztofa, którego on Piotrem zwie, kasztelanem Sanockim i starostą Pilźnieńskim, co przecież mi się zdaje co najmniéj wątpliwém.

* * *

Jeżeli wspólność herbu i nazwiska rzeczywistém jest znamieniem pokrewieństwa, należałby do rodziny zajmujących nas tu Arciszewskich Jakób Arciszewski herbu Rola z Arciszewa, kanonik Krakowski, urodzony r. 1470 i zmarły w dniu 27 lipca r. 1533. Zważywszy przecież, że w aktach Kapituły Krakowskiéj występuje r. 1525 pod nazwiskiem Erdziszewskiego, że Paprocki go zwie Ercieszowskim (Jacobus de Aercziessow) i że Łętowski w Katalogu Biskupów zastanawia się nad różnicą, jaka z czasem zaszła w pisowni tego nazwiska, — możnaby słusznie powątpiewać o pokrewieństwie Jakóba kanonika, z Arciszewskimi, Arjanami.

Pierwszy, o ile wiem, z heraldyków naszych, zamienił Okolski Ercieszowskiego na Arciszewskiego; za nim poszedł Niesiecki, za Niesieckim Encyklopedya Powszechna i Stupnicki.

* * *

Czytelnika żądnego bliższych szczegółów o pojedyńczych członkach domów Arciszewskich tak Prawdziców, jak Roliczów, odsyłam do Herbarza Niesieckiego uzupełnionego i wydanego w Lipsku przez Bobrowicza.

Z współczesnych Arciszewskich nieznanego mi herbu spotkałem się z Ignacym, który postradał swoje mienie w skutek konfiskaty rządowéj za panowania Mikołaja I. i z Bazylim, autorem i jezuitą, urodzonym r. 1795 i zmarłym w r. 1856 dnia 13. Stycznia. —

*) Krzyżanowskiego Dawna Polska pisze mylnie w „Krakowie:“ Encyklopedya Powszechna i Siarczyński podają Bazyleę, gdzie r. 1595 tegoż dzieła wyszło drugie wydanie.

„Lech“ wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 2 marki, roczna wprost w redakcyi 8 marek, dla Austryi 5 złr.. dla Ameryki 3 dolary. W Poznaniu dla tych, co sami w ekspedycyi (ul. Wodna nr. 15) odbierają, ćwierćrocznie 1 m. 50 fen. Listy dochodzą pod adr. *Lech Poznań.*

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.